

RZEKA ZŁODZIEI

MICHAEL CRUMMEY

Premiera: 16 maja 2016

Wydawnictwo Wiatr od Morza

{ fragment 1 }

Zanim się to wszystko wydarzyło, krainę tę opisywano różnymi nazwami.

Zatoki i nagie klify; ciągnące się w dal kępy świerczyny tak zielonej, że niemal czarnej. Górskie olchy, karłowate zarośla, brodaczeki. Jeziora i sadzawki w głębi lądu połączone w misterną sieć niczym narzędzy w ciele zwierzęcia, krwawiące ze starych ran rzekami sączącymi się do morza wzdłuż całego wybrzeża.

Niektóre spośród ich nazw przetrwały w notesach i dziennikach ludzi dociekliwych i systematycznych, zestawiających mizerne słowniki w czasach, gdy język nie był jeszcze całkiem martwy. Annoo-ee mówiło się na drzewo, drzewa lub las. Gidyeathuc na wiatr, Adenishit na gwiazdy. Mammashiek na każdą spośród dziesięciu tysięcy drobnych wysepek otaczających wybrzeże niczym aureola, a Kadimishuite na niezliczone zdradliwe cieśniny między nimi. Każde z tych słów cechuje nieporęczny kształt rzeczy prastarej, dziwnie niepokojący ciężar muzealnego eksponatu. Przypominają narzędzia sprzed wielu stuleci, niegdyś przeznaczone do konkretnych czynności, których dziś można się jedynie domyslać. Słowo Kewis oznaczało zarówno słońce, jak i księżyc, a do tego okrągłe tarcze zegarków kradzionych europejskim osadnikom.

www.wiatrodmorza.com

Whashwitt *to niedźwiedź*; Kosweet – *karibu*; Dogajavick – *lis*. Shabathoobet – *pułapka*. Słowniki przywodzą na myśl spreparowane zwierzęta; wyrazy, stanowiące niegdyś ich mięśnie i ścięgna, zamarty już w sztywnych pozach. Trzysta rzeczowników, garstka nieodmienionych czasowników. Pocałować, biec, upaść, zabić. Wskazują na coś niemo, stojąc na obrzeżach opowieści wciąż zataczającej kręgi wokół ich śmierci.

Pozostała tylko ich ziemia.

{...}

Johna Peytona obudził głos ojca, na wpół zduszony krzyk niosący się po wąskim korytarzu oddzielającym sypialnie na piętrze ich domu zimowego. Z domu letniego – stojącego na Burnt Island, w pobliżu łowisk, gdzie wypływali na dorsze – przenieśli się przed zaledwie dwoma tygodniami, potrwało to więc chwilę, nim pojął, gdzie się znajduje; ciemność oraz zamęt przerwane go sprawiły, że łóżko i pokój stały się obce. Leżał, wsłuchując się w ciszę, nastającą zawsze po koszmarach ojca. Żaden z nich nie obrócił się na łóżku ani nie wydał jakiegokolwiek dźwięku – obaj udawali, że się nie obudzili.

Peyton zwrócił głowę ku szybie, na której księżyc rozświetlał szron bładą, chłodną bielą. Rankiem miał wyruszyć w głąb lądu, by spędzić sezon na traperskim szlaku wiodącym na zachód od rzeki Exploits, po raz pierwszy zastawiając potrzaski bez ojca. Pół nocy przeleżał, rozmyślając o samotnej wyprawie; nie miał co marzyć o śnie. Już planował rozkład pułapek, zliczał je w głowie, szacował ogół złowionej zwierzyny oraz jej wartość na rynku. A za wszystkimi tymi kalkulacjami kryła się myśl o tym, jak mógłby zbliżyć się do Cassie, gdy na wiosnę wróci do domu objuczony futrami niczym gałąź przygięta pod ciężarem owoców. Nareszcie – jako pełnoprawny mężczyzna.

Usłyszawszy, że Cassie krząta się w kuchni na dole, dźwignął się z łóżka, przełamał cienką warstwę lodu pokrywającą wodę do kąpieli i nalał sobie pełną miednicę. Czuł ból głowy wywołany przez brak snu oraz wielogodzinne krążenie wokół tych samych myśli. Kiedy

ochlapał sobie twarz i kark, zimno uspokoiło mglisty puls bólu, zgiął się więc w pasie i zanurzył głowę w wodzie, trzymając ją pod powierzchnią tak długo, jak był w stanie wytrwać bez oddechu.

Zszedłszy do kuchni, stwierdził, że z czajnika bucha już para. Cassie szykowała na patelni ryby na śniadanie, powietrze było gęste od słodkiego, dymnego zapachu smażonych kapelanów. Usiadł przy stole, wpatrując się w kobietę nachylającą się nad ogniem; jej twarz przemykała między cieniem a światłem niczym liść obracający się na słońcu. Nie podniosła wzroku, gdy powiedział „dzień dobry”.

– Zjedz dzisiaj porządne śniadanie – poradziła. – Przyda ci się. Skinął głową, ale nic nie odpowiedział.

– John Senior się nie pokazał? – spytała.

– Słyszałem, jak krząta się po pokoju – skłamał, nie chcąc, żeby go zawołała. To był jego ostatni poranek w jej towarzystwie przed miesiącami rozłąki, pragnął więc spędzić z nią sam na sam jeszcze choć parę chwil. – W nocy ojciec znowu się miotał. Jak myślisz, co go przyprawia o taki niespokojny sen?

– O wstydzie tajny! Niesławo ukryta! – wyrecytowała Cassie, wciąż wpatrując się w kapelany na patelni. – Ból to bez bólu i bez rany rana!

Jakieś brednie z jej książek. – Nie mów do mnie tak uczenie o tej porze dnia – odparł.

Uśmiechnęła się do niego.

– Wiesz tyle samo co ja, prawda?

– Słuchaj, Johnie Peyton, to po prostu Stara Wiedźma. Do sedna niektórych rzeczy nie sposób dojść. – Odwróciła się od paleniska z patelnią i poniosła ją do stołu. Krzyknęła ku sufitowi, że John Senior ma schodzić na posiłek.

W dwie godziny od świtania Peyton zapakował ostatnie zapasy na sanie przed domem. John Senior zakładał psu uprząż. Ojciec miał pojechać z synem aż do Ship Cove, cały dzień drogi w górę rzeki od jej ujścia, ale obaj mężczyźni już czuli się nieswojo na myśl o rozstaniu. Każdy pilnował się, żeby nie dać się przyłapać na zerkaniu na drugiego; skupiali się na bieżących zadaniach. Peyton spoglądał ukradkowo na ojca pracującego przy psie. Był po sześćdziesiątce, miał

siwe włosy, ale towarzyszyła mu aura ociężałej żywotności; rozmyślny, niezłomny upór. Linie na czole jak potoki w suchym korycie rzeki. Gładko ogolona twarz zdawała się tak surowa, że mogłaby zatrzymać topór. Peyton słyszał od innych mieszkańców wybrzeża wystarczająco dużo, by zakładać, iż ojciec zapracował sobie na tę powierzchowność. Z obawy o siebie wołał więc zbyt nie roztrząsać rzeczy sprawiających, że John Senior zrywa się w środku nocy i krzyczy w ciemności.

Ojciec przykazał: – Pilnuj, żeby proch nie zamókł.

– W porządku – odpowiedział Peyton.

– Joseph Reilly ma chatę jakieś trzy, cztery mile na południe od twojego szlaku.

– Wiem, jak trafić do Reilly’ego.

– Jakbyś miał kłopoty, odwiedź go.

– W porządku – powtórzył.

Nadal czuł ostry ból głowy, ale teraz cierpienie było oszczędne i skupione, jakby między jego skroniami biegł pojedynczy rozgrzany drut. Wzmagało to tylko jego pośpiech i determinację. Przyplłynął na Nową Fundlandię przed dziesięciu laty, by poznać fach i przejąć rodzinny interes, gdy John Senior będzie gotów się go zrzec. Decyzja ojca, by w tym roku nie zajmować się pułapkami, stanowiła pierwszą mglistą zapowiedź nadchodzącej emerytury.

Peyton oznajmił: – Na Boże Narodzenie tu nie wrócę.

John Senior ułożył sukę na boku i bacznie przyjrzał się jej łapom. – A więc w styczniu – stwierdził, nie podnosząc głowy.

Peyton przytaknął.

Z fałdów zimowego płaszcza ojciec wydobyl srebrny zegarek kieszonkowy. Pracował na powietrzu z gołymi rękami; w porannym chłódzie jego palce nabiegły krwią. – Wpół do dziewiątej – powiedział. – Lepiej żegnaj się już z Cassie. I nie ociągaj się.

Podłoga w kuchni była obsypana mokrym piachem, a Cassie pracowała na kolanach, szorując deski długą, sztywną szczotką. Spódnice podwiązała w supeł na wysokości ud. Kiedy stanął w drzwiach, przysiadła na piętach i popatrzyła na niego.

Peytonowi zaschło w gardle, oddech zacinął się krótkimi westchnieniami. Był zaskoczony siłą własnych uczuć. Tak długo je

skrywał, że sam przestał doceniać ich moc. Teraz wypłynęły na powierzchnię tak gwałtownie, że coś zakłuło go w piersi. Odkasznął w pięść, próbując pozbyć się niespodziewanego ucisku. – Będziemy się zbierać – poinformował. Miał wrażenie, że Cassie jest w stanie dosłyszeć dudnienie jego serca przez warstwy ubrań, założył więc ręce ciasno na piersi.

Wciąż trzymając szcztokę w dłoni, uniosła przedramię, by otrzeć czoło i policzki.

Powiedziała: – Uważaj tam na siebie, Johnie Peyton.

– O mnie się nie martw – odrzekł i rozczarowany spuścił wzrok na buty. Nawet jej najbardziej kojące i czułe słowa były odrobinę cięte, jakby starała się zapobiec panice rozmówcy. Zachowywała się jak osoba prowadząca płochliwego konia, mogącego znarować się pod wpływem najdrobniejszej prowokacji. Miała w sobie podobną zawziętość i nieustępliwość jak ręka ściskająca uzdę.

Przyszło mu do głowy, że Cassie może nawet nie wstać, żeby się z nim pożegnać, a ta myśl sprawiła, że czekające go miesiące w lesie wydały mu się nagle wstrętne. Zawsze zachowywała się wobec niego dziwnie, okazując mu mieszkankę wyniosłości i troski. Jakby czekała, aż on w jakiś sposób dowiedzie swojej wartości. Była od niego starsza o dobre sześć lat. Przez pierwsze dwa lata znajomości przewyższała go wzrostem, a choć wreszcie ją przerósł, przez kolejnych kilka lat wciąż pozostawała oficjalnie jego prywatną nauczycielką. Pokonywanie dystansu, który to między nimi wytworzyło, trwało dużo dłużej, niż Peyton się spodziewał. Jedyne pocieszenie znajdował w myśli, z jak wielką rezerwą traktowała wszystkich wokół. Na północno-wschodnim wybrzeżu niewiele było kobiet; co roku Cassie wysłuchiwała oświadczeń mężczyzn, którzy nie potrafili nawet zapisać własnego imienia, całe dorosłe życie przemieszkali samotnie, a od rozstania z matką nie spędzili nawet godziny w kobiecym towarzystwie. Peyton widział jak na dłoni, że Cassie czeka na coś bardziej obiecującego niż to, co tamci mężczyźni mieli jej do zaoferowania.

Pies zaszczekał przed domem; stojące w uprzęży zwierzę niecierpliwiło się, chcąc ruszać w drogę.

– Powinienem jechać – powiedział Peyton, dając już krok przez próg.

W tym momencie Cassie rzuciła szczotkę, a on, odwróciwszy się do niej, zobaczył, że podnosi się z podłogi i rozwiązuje spódnicę, zakrywając pończochy opadającymi warstwami materiału. – Czekaj – nakazała. Poszła przez korytarz do swojego pokoju za kuchnią i wróciła z sześcioma świecami zawiniętymi w arkusz papieru.

Zbliżywszy podarek do twarzy, Peyton poczuł woń pszczelego wosku. Cassie wyrabiała świece własnoręcznie i używała ich wieczorami, gdy czytała książki. Twierdziła, że wosk daje jaśniejsze światło i starcza na dużo dłużej niż łój. John Senior uważał, że to absurdalne przedsięwzięcie, a nawet Peyton miał wrażenie, iż domniemane korzyści nie mogą wynagrodzić wysiłku włożonego w zbieranie wosku i lanie świec. W dzieciństwie wpojono mu przekonanie, że lektura książek to tylko pewna forma rozrywki, jasne było jednak, że w mniemaniu Cassie jest to coś zupełnie innego. Czytała wielokrotnie Goldsmitha, Fieldinga i Milтона, jak również opasłe powieści Fanny Burney zatytułowane imionami głównych bohaterek: *Camille*, *Cecilię* i *Ewelinę*. Wiele spośród sonetów Szekspira знаła na pamięć i czasami recytowała po kilka linijek, zmuszając Peytona, żeby słuchał. Chciał mieć jakiś udział w jej entuzjazmie, okazać, że go dostrzega, lecz nie potrafił zaoferować lepszej odpowiedzi niż: – Zdaje mi się, że to ładne.

Kręciła głową. – Beznadziejny z ciebie przypadek, Johnie Peyton – mówiła. Pobrmiewająca w tych słowach deklaracja bezsilności napawała go żalem, że wciąż przyprawia ją o taką rezygnację.

Podsunał jej świece. To była z jej strony rozrzutność, a on i tak zmarnowałby podarek. – Nie spakowałem ani jednej książki – wyjaśnił.

Cassie uśmiechnęła się do niego i wzruszyła ramionami. – Ich światło przyda ci się przy drobnych pracach, gdybyś musiał naprawić rakiety śnieżne albo zszyć rozdarte ubrania.

Peyton skinął głową. Dreszcz o mało nie zwałił go z nóg. Stopy miał ciężkie, jakby właśnie wszedł po cholewy do wody. Wbił w nią wzrok i powiedział: – Troszcz się o Johna Seniora, kiedy mnie nie będzie.

Cassie odwróciła się od niego i znów związała spódnicę na udach. – Zawsze się troszczę. – Uklękła na podłodze i z całą mocą naparła na szczotkę. Szorowała deski, kiedy on zamykał za sobą drzwi.

Wiatr od morza to...

*zapach kanadyjskich lasów
gwar angielskich portów
piaski Afryki
ostra woń chłodnego, arktycznego powietrza
okrzyki rybaków zarzucających sieci
smak soli w ustach*



...gdańskie wydawnictwo założone przez Michała Alenowicza,
miłośnika książek i tłumacza literatury anglojęzycznej.

Wyszukujemy dla Państwa wyjątkowe i wręcz magiczne książki – prawdziwe rarytasy światowej literatury. Nieraz są to zapomniane i nigdy nie tłumaczone na język polski dzieła, nagradzane przed laty prestiżowymi nagrodami, innym razem niezwykle powieści wciąż nieodkrytych w Polsce pisarzy młodego pokolenia. Lubimy wyobrażać sobie, że sprowadzając je do Polski stajemy się niczym dawni gdańscy kupcy, zaopatrujący niegdyś kraj w egzotyczne przyprawy i drogie tkaniny. Niech i dziś z prastarego nadbałtyckiego portu płynie to, co dodaje życiu smaku – wyjątkowa, poruszająca wyobraźnię literatura na najwyższym poziomie.



fot. Magdalena Alenowicz

www.wiatrodmorza.com

[Kup książkę](#)